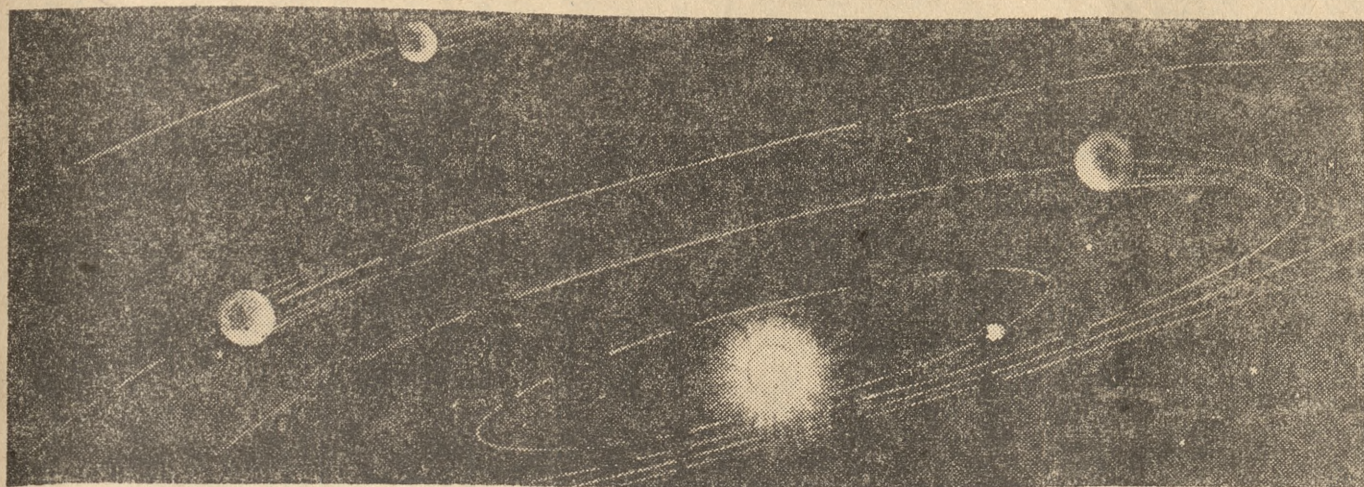




Jak powstała Ziemia?

Nowa teoria akademika Szmidta

Henryk Barański

Kosmogonia jako nauka powstała przed 200 laty. Lecz kosmogoniczne hipotezy XVIII wieku opierały się na małej ilości faktów. Późniejszy rozwój nauk przyrodniczych i olbrzymie osiągnięcia astronomii zmieniły dotychczasowe zapamiętanie. Okazało się, że świat to nie maszyna i nie „formuła matematyczna”. Jest to nieskończona różnorodność materii, będącej w wiecznym ruchu, w przejściu z jednej formy do drugiej. Więc gwiazdy i planety to nie ziarenka piasku zagubione gdzieś w bezbrzeżnym oceanie pustki, lecz części jednej całości ogniw ogromnego systemu gwiazdnego Drogi Mlecznej. Przestrzeń drogi wypełniona jest rozżarzonym gazem, promieniami kosmicznymi, olbrzymim skupieniem pyłu, który przechodzi w wielki mglisty obłok otaczający Galaktykę. Wszystko we wszechświecie jest powiązane z sobą. Pewne gwiazdy wydzielają materię, która tworzy w przestrzeni obłoki i sama nie zbadanym jeszcze sposobem przekształca się w ciała niebieskie.

Gwiazdy tworzą rodziny, systemy i jest ich znacznie więcej niż początkowo przypuszczano. Błądzą niewidzialne światła infraczerwone i niedawno odkryte radiogwiazdy, których dziesiątki znajduje się w pobliżu Słońca. Jak się zdaje, mnóstwo gwiazd posiada systemy planetarne, podobne do naszego systemu słonecznego.

Akademik radziecki O. Szmidt ogłosił niedawno nową teorię o pochodzeniu Ziemi, która pasjonuje uczonych całego świata. Pracując nad nią od 1943 roku, doszedł do wniosku, że Ziemia nigdy nie była ciałem ognisto-płynnym, a powstała z zimnych pierwiastków. W ciągu swego długiego życia stopniowo się nagrzewała od Słońca i poszczególne jej części przechodziły

kształt dysku na podobieństwo obrączek Saturna. Obecnie jest tak samo młoda i pełna sił, jak przed kilkumiliardami lat. Przed kilkumiliardami lat, — mówi prof. Szmidt — dookoła naszego Słońca, które prawie nie różniło się od obecnego, istniał obłok gazu i pyłu, wybiegający daleko poza orbitę planety Pluto, ostatniej planety systemu słonecznego. Obłok preplanetarny nie był jednolity. W pobliżu światła centralnego nagrzewały go promienie słoneczne. W środkowej części obłok był najbardziej zgęszczony: w chłodnym mroku, dokąd nie przenikało światło Słońca, zasłoniętego gęstą mgłą, gazy teżały, tworząc wielkie skupienia. Szły wieki i tysiąclecia. Obłok pyłu obracał się dookoła Słońca, stopniowo gęstniał i twardniał, przyjmując wreszcie kształt dysku na podobieństwo obrączek Saturna. Po szczególne cząstki zderzały się, zrastały, tworząc mnóstwo oddzielnych skupień. Zgęszczenia te nie były długowieczne, często rozpadały się i łączyły na nowo. Lecz raz rozpoczęty proces zespalandia odbywał się dalej. Wielkie zgęszczenia wchłaniały małe i tworzyły zarodki dzisiejszych planet. Tam gdzie „materiał budowlanego” było mało, powstały niewielkie planety. Pośrodku dysku utworzyły się wielkie planety. W pobliżu Słońca powstały najcięższe ciała: Merkury, Wenus, Mars i podwójna planeta Ziemia-Księżyc. Zrodzone w mroku wielkie planety Jowisz, Saturn, Uran i Neptun otoczyły się ogromnymi atmosferami wodoru i jego połączeń — tru-

jących gazów metanu i amoniaku. Ostatnia planeta systemu słonecznego Pluton powstała na skraju pierwotnego dysku, gdzie materiału było zbyt mało i dlatego Pluton jest w rodzinie planet naszych — karłem.

Odległość planet od Słońca nie jest przypadkowa. Najbardziej zdolne do życia są te, które biegną drogami w ściśle określonych od siebie odległościach. Im mniejsza jest planeta, tym powolniejszy jej obrót dookoła swej osi. Natomiast dzień i noc wielkiego Jowisza trwa tylko 4 godziny i 55 minut.

Równocześnie z jądrami planet powstawały zarodki satelitów z roju pyłu, okrążającego rodzające się planety. Jedną część płaskiego takiego dysku ocalała do naszych czasów w postaci obrączek Saturna.

Jak twierdzi prof. Szmidt, pył kosmiczny wciąż wciąga między planetami i spada na naszą Ziemię w postaci małych meteorytów. Wielkość Ziemi stopniowo rośnie.

Tak przed 5 do 7 miliardami lat powstała nasza Ziemia. Nauka wiele ma jeszcze do powiedzenia w tej dziedzinie. Mało zbadana jest historia geologiczna Ziemi, wewnątrz jej kryje jeszcze przed człowiekiem wiele zagadnień. Tylko trzęsienia ziemi na wzór lampy, która zapala się na chwilę, oświetlają nam jej wnętrze. Pomiędzy geologami, geofizykami i geochemikami nie ma jednoci poglądów. Zwalczają się różne teorie i powstają nowe. Niejasne jest pochodzenie preplanetarnego obłoku. Czy porwany został przez Słońce po jego utworzeniu się, jak dowodzi inny uczony Fesienkow. Jedno jest pewne, że długi jest jeszcze żywot naszej Ziemi. Prof. Szmidt oblicza jej istnienie w stanie prawie geologicznie niezmiernym na 10 miliardów lat.

CO SIĘ DZIEJE z Teatrem Młodego Widza?

Janina Morawska

Dyrekcja Teatrów Państwowych przyjęła pod swoje skrzydła również i Teatr Młodego Widza, który dotychczas stanowił jednostkę autonomiczną. Ten związek powitaliśmy z zapałem. Wyglądało to tak, jakby dziecko, które przez sześć lat samotnie borykało się z wielkimi trudnościami wszelkiego rodzaju, zostało zaadoptowane przez dobrotliwego opiekuna i włączone do wielkiej rodziny, gdzie jako najmłodszy Benjamin, będzie otoczone specjalną troskliwością. Zdawało się, że różne techniczne i obsadowe trudności młodzieżowego teatru zostaną nareszcie rozwiązane. Teatr Młodego Widza, który ma tak ważne zadanie do wypełnienia, został zrównany w prawach z teatrami dla dorosłych, więc cieszyliśmy się, że ta młodzież, która tak wytrwale walczyła na trudnej i odpowiedzialnej placówce, nie tylko otrzyma poważne posilki, ale będzie mogła się wiele nauczyć, bo nastąpi na tę scenę dopływ sił aktorskich i reżyserskich z większych scen. Jednym słowem, nam, optymistom, którym leżała na sercu sprawa teatru młodzieżowego i dziecięcego, kamień spadł z serca, i z otuchą i nadzieją oczekiwaliśmy, co z tego wielce obiecującego związku wyniknie.

Pierwsze posunięcie napeliło nas pewnym niepokojem. Owszem, Teatr Młodego Widza otrzymał dopływ nowych poważnych sił, — ale w całkiem nieoczekiwanej na tej scenie pozycji repertuarowej. Pisaliśmy już o tym, że „Krotofil o mistrzu Pachelbelu” była ostatnią sztuką, która powinna się była tam znaleźć, i teatr, sam rozumiając swoją omyłkę, bardzo prędko przeniósł sztukę do Komedii Muzycznej. I to nieprzemysłowe repertuarowe odbiło się na widowni dziecięcej, dla której przez szereg tygodni nie było nic innego do pokazania, oprócz doszczętnie ogranego Młodego Widza.

Nie rozdzierajmy jednak szat. Jednak coś przyszło zespółowi Teatru Młodego Widza z włączenia do wielkiej rodziny. Udzielono mu zaszczytnej gościnności na reprezentacyjnej scenie Teatru Polskiego. Słusznie — wieloobsadowy „Poemat Pedagogiczny” — pozycja piękna i pożyteczna, inscenizacyjnie dość skomplikowana — nie zmieściłby się na małej scenie.

Młody zespół na pewno wiele zyskał na tym, że mógł pracować z pierwszorzędnymi siłami aktorskimi. Jest tylko jedno niebezpieczeństwo. Czy zakosztowawszy sukcesu na wielkiej scenie i oklasków szerokiej widowni, zechce powrócić do „bazy”, na swoją skromną scenkę, do swojej dziecięcej widowni, której z takim nakładem sił poświęcił kilka lat pracy z pełnym zrozumieniem ważności swojego zadania?

Wiemy jedno: reżyser i aktorzy Teatru Młodego Widza zatrudnieni są przy realizacji komedii sportowej, która ma być wystawiona znów na jednej z większych scen. Co się tymczasem dzieje z ich bazą? Z pośpiechem, do którego zmuszała konieczność, wystawiono tam sztukę kukielkową Malszewskiego „Nowa szata króla”. Wykonał ją zespół techniczny, inwalidzi i niedośćki dawnego zespołu aktorskiego Teatru Młodego Widza, co srogo zemdliło się na realizacji. Po amatorsku wygłaszany tekst, nie zsynchronizowany z po-

ruszeniami, rytmem i charakterem kukielek — nie oddaje zupełnie humoru waleńców sztuki, która w Krakowie była swojego rodzaju ewenementem. Jednym słowem, dziecięca widownia otrzymała namiastkę, naprędce sklejoną po to, aby się coś na tej scenie działo. A właściwy Teatr Młodego Widza przeniósł się na większe sceny — obawiamy się, że bezpowrotnie.

Do pewnego stopnia nie jest to pozbawione sensu. Wielokrotne doświadczenia dowiodły, że sztuki dla starszej młodzieży nie chwytają na scenie Teatru Młodego Widza, którego stalymi i zapalonymi bywalcami są niemal wyłącznie dzieci od lat (niemoty dwóch). Ani „Na dzieła” Heijermansa, ani „Świerszcz za koniem” ani „Młoda Warszawa”, spektakle wykonane starannie i wydawałyby się atrakcyjne — wcale nie cieszyły się frekwencją tych, dla których były przeznaczone. Widocznie starszą młodzież odstrasza „dziecinny” charakter innych przedstawień w tym teatrze, nie chce się po prostu mieszać ze „smarkaterią”, rości pretensje do tego, aby należeć do szerszej widowni. Wobec tego, może i słusznie spektaklom młodzieżowym udzielać gościń większe sceny.

Tylko dzieci — ta najmilsza, najbardziej ufna, najrozkoszniejsza publiczność — zostały w tej chwili pozbawione swojego teatru. Bo abstrahując nawet od namiastkowego charakteru realizacji „Nowej szaty króla”, ta baśń Andersena i jej morał przeznaczona jest wyraźnie dla starszych. Dzieci mogą bawić tylko poruszenia kukielek, ale sens sztuki jest dla nich niedostępny. Ostrze satyry wymierzone jest tam przeciw głupcom i tchórzom, którzy boją się o swoje stanowisko — ale wśród dzieci nie ma głupców, i żadne z nich nie boi się o swoje stanowisko. Każdy z tych widzów jest tym dzieckiem, które mówi po prostu o tym, że król jest bez ubrania, i wszystkie te machinacje i kłamstwa dorosłych, które się odbywają na scenie są dla nich skomplikowane i niezrozumiałe. Przedstawienie kukielkowe „Nowej szaty króla” w Krakowie nie było też wcale przeznaczone dla dzieci.

Ala jest wiele napisanych specjalnie dla dzieci i bardzo uroczych sztuk kukielkowych — widziliśmy, jaki entuzjazm wywołał w swoim czasie „Gegorek”. Taki, racjonalnie prowadzony teatr kukielkowy, miałby naprawdę sens na tej scenie. Ale kto mu się poświęci, kto będzie w nim pracował? Jest rzeczą wątpliwą, aby dawny zespół, już wdrożony w tę robotę, powrócił do niej z większych scen. A nie widać nawet zarodków innego zespołu, który kukielkowi oddałby się z takim umiłowaniem i z takim zaparciem się siebie, do jakiego zdolni są tylko kukielkarze. Są w Poznaniu fachowcy-plastyki, są w zespole fachowcy-kukielkarze, ale siły te są rozproszone i nie widać, żeby dążyły do jakiegoskupienia.

A tymczasem dzieci czekają na dobry teatr — kukielkowy czy nie kukielkowy, który im się słusznie należy. Po raz nie wiem który trzeba powtórzyć słowa Gorkiego „dla dzieci trzeba pisać (i pracować! — dop. aut.) tak jak dla dorosłych — tylko jeszcze lepiej”.

RYSZARD DANECKI

Zobowiązanie

Widzę —

rosnące mury robotniczych osiedli i ruchliwe sylwetki murarzy na tle niebieskiej dali.

Słyszę —

młody hutnik doświadczeniem się dzieli, jak po kolorze określać temperaturę stali.

„Nie zna granic...”

śpiewali robotnicy stojący na murze. Po wykładzie hutnika był śpiew i taniec.

Ja też na Złocie być muszę!

a jeśli na dłoniach nie odciski od cegieł a tylko plamy atramentu, a jeśli oko słabe w rozgrzanych rud ocenie a tylko temperaturę serc ludzkich określa bez błędu?

Przylącam do ogólnej zobowiązań fali i swoją kandydaturę — rozpalić do białej stali serca najbardziej uporne, wznieść swą pieśń nad najwyższej budowli murem biorę za normę

i, jak pod zobowiązaniem, piszę swoje nazwisko pod tym wierszem, że będę na Złocie z wami — hutnicy i murarze śpiewający — że siadę wśród was pierwszych, wśród pierwszych 200 000!

Tajemniczy łańcuch przemian

Dr KAZIMIERZ KAPITAŃCZYK

Mowa już była uprzednio o tym, jak to żywe organizmy na podobieństwo motorów, potrzebują energii by pracować. Wiemy też o kłopotach polityków i strategów, którym tyle trzeba paliwa dla samolotów i czołgów — zwłaszcza, gdy są politykami agresji. Nasze motory życia potrzebują również paliwa i materiałów budowlanych. I jakkolwiek zawodowi fabrykanci kłamstwa i plotki opowiadają rzeczy ponure o niedostatku produkcji żywnościowej, chleba nie może zabraknąć. Choćby dlatego, iż ciągle jeszcze zaludnienie ziemi nie przekracza jednego człowieka na kilometr kwadratowy, a wykorzystanie jej płodności ustala się grubo poniżej maksymalnej. Nie trzeba przy tym mówić o wielkich perspektywach socjalistycznej agrotechniki i o barbarzyńskim, atlantyckim niszczeniu owoców uprawy i hodowli.

Motory poruszają się... roślinami

I tu wracamy do właściwego problemu: jakkolwiek byśmy kreślić tematem (i głową!), to nawet motory silników karmią się roślinami. Bo czymże jest syntetyczna benzyna? Przetworzonym węglem kamiennym czy brunatnym. Węgiel kamienny czy brunatny to znowu materiał chemiczny roślinnego pochodzenia. Gdyby kto chciał wysunąć argument, że wprowadzić sztuczna benzyna ma roślinną progeniturę, a benzyna i paliwa naturalne wywodzą się z ropy naftowej to i tak nie się nie zmienia. Jeśli nawet nie odrzucać teorii o jej nieorganicznym pochodzeniu, to według nowych poglądów jest ona produktem złożonego procesu rozpadu (gnicia) fantastycznych mas organizmów zwierzęcych, zwłaszcza morskich. Proces ten trwa przez tysiąclecia.

Czym żywi się śledź, rekin lub wieloryb? Wszyscy zgadzają się, że okazy te muszą się odżywiać wcale obficie. Jedne z powodu wielkości własnej, inne z powodu mnogości ich występowania.

Morski „kogel — mogel“

A czy pamiętacie, że z 510 milionów kilometrów kwadratowych powierzchni ziemi 365 pokrywa woda morską? Życie na lądzie pulsuje wprawdzie żywo, ale trzyma się tylko jej powierzchni. Tymczasem odmetny morskie stanowią o wiele wdzieczniejszą ośrodek vegetacji. Do głębokości 400 metrów woda jest dosłownie „prześlanięta” żywą materią. Powiemy krótko: wszelkie żyjące organizmy w końcu odżywiają się planktonem, osobliwym „kogiem-mogiem”, złożonym z mikroskopowo małych organizmów roślinnych i zwierzęcych. Wszystko to przewala się obficie, żyje i obumiera, opada na dno.

A dużo tego wszystkiego? Roczna produkcja tej żywej substancji szacowana jest na 150 g w metrze sześciennym wody morskiej. Podaje się, że jednym zagarnięciem sieci dość wielkiej z powierzchni wody morskiej (do głębokości 20 metrów), wyławia się 5 milionów 700 tys. organizmów.

W literaturze naukowej spotyka się dane, z których wynika, że w 100 litrach wody morskiej przebywać ma około 77 milionów mikro-roślin, milion 600 tysięcy pierwotniaków, oraz 17 tysięcy wyższych zorganizowanych żyjątek.

W sumie daje to około 56 proc. roślin i 44 proc. zwierzęcych istot. Podstawą „menu” całego kolektywu mieszkańców wód morskich to przede wszystkim różne skorupiaczki, stanowiące najważniejszy składnik tego pływającego świata. Ich su-

cha substancja zawiera około 60 proc. białka, 20 proc. węglowodanów (cukrów) i 10 proc. tłuszczów. Najwartościowsze zestawienia mięsnych diet nie przedstawiają się lepiej. Nie gorzej też uклада się skład roślinnego rozdziału planktonu. Plankton z okresu jesiennego jest bogaty i zawartość substancjalną fali morskiej przyrównuje się do odczytów wartości łąki. Sianokos daje około 170 g substancji suchej z metra kwadratowego łąki — morze natomiast około 150 g. Wyżej wymienione skorupiaczki żywią się algami (glonami) — a więc roślinami. Skorupiaczki zjadane są przez małe rybki, te przez większe, w końcu obumierające ciała ryb opadają na dno. Gdy warunki są sprzyjające tworzy się ropa naftowa.

Wszystkie nasze silniki potrzebują energii, a wszelka energia zmagazynowana została przez rośliny. Chyba, że chodzi o energię atomową — ale to już inna sprawa.

Ktoś powiedział, że wszelkie mięso na ziemi to trawa, a wszelkie ryby to diatomee (okrzemki), mikroskopowe algi, zaopatrzone w krzemionkowe szkielety czy pancerzyki. Berlin spoczywa na 25-metrowej warstwie z krzemionkowych pozostałości algowych, które przed wiekami wypełniły były żywą substancją.

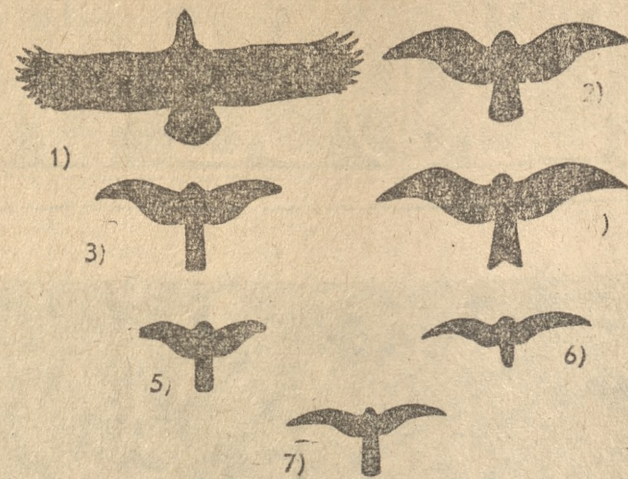
Bez trawy i alg (glony) nie zaczęłyby się łańcuchy przemian, nie byłoby pokarmów. Bez trudu możemy sobie wyobrazić łańcuch przemian materii, zapoczątkowany przez procesy życiowe jakiejś rośliny, a zakończony w naszym żołądku. Sądźmy w ogólnym — dajmy na to — młodą roślinkę sałaty. Roślina, rozwija się. Mówiąc językiem chemicznym: pobiera za pośrednictwem korzeni wodę z gleby, z wodą substancje w niej się rozpuszczające. Z powietrza wyląwa dwutlenek węgla, przetwarzając go przy udziale energii słonecznej na substancje pokarmowe. Prawdę mówiąc na własne substancje pokarmowe, często zapasowe. Na marginesie tych arcyważnych procesów przebiegają zwykle reakcje oddychania.

Pocziwa krowa — przetwórcza chemiczna

W liściach koncentruje się cały mechanizm chemiczny syntez wykonywanych przez żywy organizm rośliny. Powstają nie tylko cukry i wielocukry (skrobia), ale także formują się substancje białkowe czy tłuszczowe. Tak czy inaczej roślina tężeje (żeby nie powiedzieć „meźnieje”), rośnie, staje się soczysta i smaczna. Oczywiście, że wskazać można na bardziej

złożone łańcuchy procesów przemian, np. droga od trawy poprzez mleko krowy do naszego żołądka jest oczywiście dłuższa.

Trawa jak każda roślina, pobiera wapno i sole z ziemi, z powietrza dwutlenek węgla i tworzy cukier i skrobię, a także białka. Bydło potrzebuje dla swego organizmu paszy zielonej. Cukry wykorzystuje krowa częściowo bezpośrednio, po prostu dla podtrzymania sprawności swego organizmu — to umożliwia jej zresztą spacer po nowym pokarm i wodę. Białka, substancje organiczne zawierające azot, pobrane w pokarmach, zatrzymywane są przez organizm krowy i przetworzone na substancję mięsną białek swoistych. A kiedy człowiek wtrąci się do tego i przyrzadzi sobie kulek cielęcy czy befsztyk z cebulką, wtedy zjada i cukry i białka tkanki zwierzęcej. Z kolei we własnym już organizmie przetwarza skonsu-mowane białka na białka własne. Co się tyczy tłuszczów, to są one również swobodnie przetworzonymi węglowodanami (cukrami), według odrębnego przepisu chemicznego. Krowa radzi sobie także i z wielocukrami zwanymi celulozami. Celulozę zawartą w roślinach przetwarza na cukier, buduje z niego tłuszcz, miesza z białkiem i z wodą tworząc koloidalną zawiesinę zwaną mlekiem. Tłuszcz podobnie jak i części cukrów, ulegają w organizmie spalaniu — dostarczając energię. O innych problemach — innym razem.



Sylwetki niektórych ptaków drapieżnych w locie

1. Orzeł bielik
2. Myszolów
3. Jastrząb-golebiarz
4. Kania
5. Krogulec
6. Spokół kobuz
7. Sokół pusturka

Kilka uwag o ptakach drapieżnych

Mgr inż. Ryszard Graczyk

Słyszac o ptactwie drapieżnym zazwyczaj wyobrażamy sobie rabusia z haczykowatym zgłębieniem, zakrzywionym sierpowato szponami, czyhającego ustawicznie na ofiarę. Powoduje to, że ustosunkowujemy się do nich niezbyt przychylnie. Co prawda sama nazwa „drapieżnik” zdradza nam tryb życia tych ptaków, lecz jednak trzeba stwierdzić, że tylko nieliczne drapieżniki uganiają się wyłącznie za pożytecznym ptactwem śpiewającym i gospodarskim, oraz niektórymi ssakami łownymi. Natomiast większość poluje między innymi na bardzo groźne szkod-

niki dla rolnictwa i leśnictwa, przyczyniając się tym do zmniejszenia strat gospodarczych.

Poglądy uczonych na szkodliwość ptactwa drapieżnego były różne. Początkowo tępieno bezwzględnie wszystkie drapieżniki; do tego stopnia, że niektórym gatunkom groziła zupełna zagłada. Ofiarą tego masowego niszczącego pędzi orły, które dziś ze względu na rzadkość zaliczamy do ptaków gospodarczo obojętnych. Piękne te i rzadkie ptaki przedstawiają obecnie jedynie dużą wartość naukową, jak również estetyczną i mimo wyrządzania miejscowych szkód, polowania na orły są bezwzględnie zabronione.

Na terenie naszego kraju, a szczególnie na Ziemiach Zachodnich rozmożyły się ostatnio dość licznie ptaki drapieżne. W większym nasileniu występują dwa gatunki: myszolów i sokół pusturka. Liczne pojawienie się myszoliów i pustulek uważać należy za zjawisko pomyślne, gdyż drapieżniki te są sprzymierzeńcami człowieka na polach i w lasach w walce z myszami, stanowiącymi ich zasadniczy i ulubiony pokarm. Obliczono, że myszoliów gnieździ w ciągu roku około 10.000 myszy i polników. Ponadto — jak wykazują badania przewodów pokarmowych — chwytają owady dorosłe i ich larwy, oraz drobne ptaki i ssaki. Czyni to jednak w ostateczności, gdy brakuje mu podstawowego pokarmu.

Na dowód, że myszoliów poluje prawie że wyłącznie na myszy, podaje własne spostrzeżenie. W początku lipca 1948 r., kiedy jechałem rowerem szosą wiodącą przez las, nadleciał myszoliów i krążył zawieszony nad mysimi norami, czekając na pojawienie się tych gryzoni, aby potem je pochwytywać. Podczas znowu łatwo spotkać możemy tego pożytecznego drapieżnika przy stochach zestawianego zboża, gdzie myszy lubią przebywać. Wynika z tego, że ze względu na świadczenie usług człowiekowi w walce ze szkodnikami w gospodarstwach rolniczo-leśnych, myszoliów i pustulek zasługują na zupełną ochronę.

Do największych szkodników drapieżnych zalicza się jastrzębia gołębiarza i krogulca, czyniących na ogół duże spustoszenia wśród pożytecznych ptaków śpiewających — toteż tam, gdzie pojawiają się w większych ilościach należy je tępić. Pozostałe gatunki drapieżne, jak np. sokół wodny, sokół kobuz, kania i inne, dla rolnictwa i leśnictwa przeważnie nie mają większego znaczenia — pomimo, że nieraz polują na ptaki śpiewające i ssaki. Drapieżniki te uważane są za czynnik selekcyjny, ponieważ chwytają najczęściej osobniki chore i słabowite. Rola ptactwa drapieżnego jako czynnika przeprowadzającego selekcję, wyraźnie zaznaczyła się z chwilą wybijania tych ptaków, bowiem zaczęły szerzyć się wśród zwierząt łownych choroby. Ponadto przekonano się, że stan drobnych ptaków nie uległ poprawie, a nawet w niektórych okolicach wyraźnie zmalał, gdyż rozmnożyły się nadmiernie sroki i wrony, zasadniczo tępiąc je i niszcząc.

Widać z tego, że nie należy podchodzić do wszystkich ptaków drapieżnych jako do wyłącznych szkodników i niszczycieli. W razie wyraźnych szkód trzeba tępić jastrzębia gołębiarza i krogulca stosując odstrzał. Rozpoznawanie gatunków drapieżnych ułatwia nam znajomość ich sylwetek w locie (na rys.).

Br. L.

Adam Mierosławski — żeglarz i rewolucjonista

Niezwykle było życie Adama Mierosławskiego, który wiele lat spędził na wodach trzech oceanów i czynami swymi dobrze przysłużył się narodowi i Ojczyźnie. Żył on w latach od 1815 do 1851 roku, będąc na przemian rewolucjonistą i żeglarzem, przy czym zawsze porzuca służbę na morzu, gdy wchodzi w grę walka o wolność.

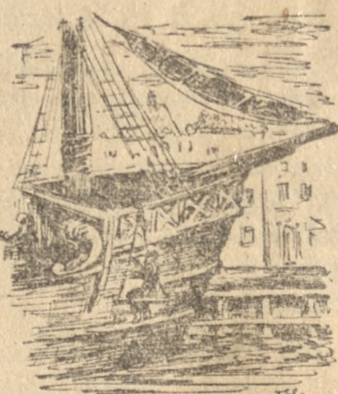
Pierwszym, ważniejszym momentem w życiu Adama Mierosławskiego było powstanie listopadowe, kiedy to jako 15-letni chłopiec uciekł z korpusu kadetów w Kaliszu, by wstąpić do artylerii, gdzie otrzymał wkrótce stopień podoficerski i srebrny krzyż zasługi za waleczność na polach walki.

Współ z innymi bierze czynny udział w powstaniu i m. in. pod dowództwem gen. Sowińskiego, uczestniczy w bohaterskiej obronie Warszawy na szanach Woli, gdzie, ranny w nogę, dostaje się do niewoli. Po krwawym szturmie bohaterskiego zrywku narodu, Adam Mierosławski nie chce żyć pod rządami zabójcy i po uwolnieniu z niewoli wędruje przez Prusy i Niemcy do Francji, by rozpocząć nowe życie — życie marynarza.

Wystąpienie na tę nową drogę życia nie było jednak takie łatwe, jak się może jednemu wydaje. Młody wiek uniemożliwił Mierosławskiemu wstąpienie do szkoły morskiej; wzięcia budowa ciała, niski wzrost i słabe zdrowie nie zachęcały kapitanów statków do zdobycia takiego nabytku, toteż aż przez trzy miesiące trwały poszukiwania, zanim młody Polak usłyszał tak radosną dlań wiadomość o przyjęciu w poczet załogi okrętowej.

Marzenia spełnione, 17-letni Polak rozpoczyna ciężką służbę na okręcie, zmuszającą do ponoszenia wielu nadmiernych wysiłków; służbę wymagającą wielkiej wytrzymałości zarówno fizycznej jak i psychicznej, aby oprzeć się śmierci, która po prostu szalała wówczas na okrętach i zbierała bardzo obfite plony.

Ciężki egzamin wypadł jednak pomyślnie. Wkrótce awansuje na porucznika stat-



ku „Courier de Bourbon” i odbywa wiele rejsów do Indii, płynąc szlakiem tak rzadko uczęszczanym do tego czasu przez Polaków. Tercem działalności młodego Polaka-żeglarza staje się Ocean Indyjski, baza wypadowa i zaopatrzeniowa w podróży do Indii wyspa Bourbon (znana dziś Réunion), położona na zachód od Madagaskaru; pe-dzi życie pełne niebezpieczeństw i zmagania.

Po zdaniu egzaminu w Nantes i uzyskaniu stopnia kapitana żegluga, Mierosławski wraca na wyspę Bourbon i rozpoczyna szalone wyprawy między Afryką, Azją i Australią bez względu na niebezpieczeństwa i pory roku, w czasie których załoga prze-

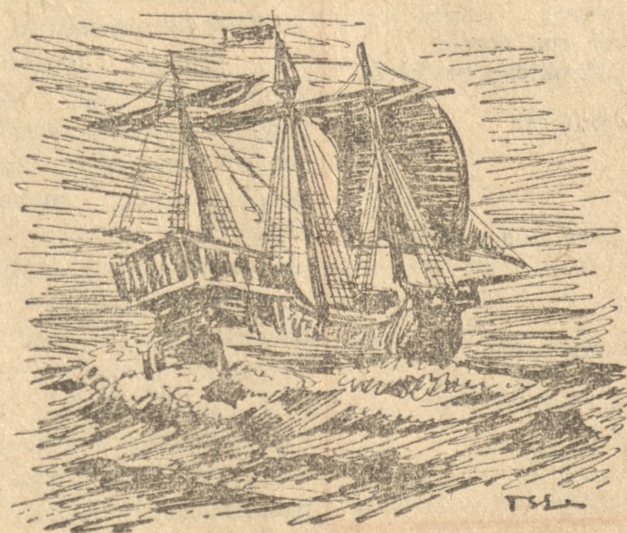
żyła wiele huraganów i burz w różnych częściach świata.

Brawurowe wyprawy, równe traktowanie zarówno białych jak i kolorowych, sprawiedliwość w stosunkach handlowych z plemionami spowodowały, że na Dalekim Wschodzie szeroko rozeszła się sława o niezwykłym Polaku-żeglarzu, co potrafił nawet utrzymać przyjazne stosunki handlowe z dzikimi plemionami, z którymi Anglii czy Francuzi odważali się prowadzić pertraktacje handlowe tylko pod osłoną dział, czy karabinów piechoty. Mierosławski tego nie potrzebował i co jest jeszcze dziwniejsze, potrafił nawet zdobyć szacunek wśród korsarzy, którzy z podziwem opowiadali o jego zdolnościach szermierczych i odwadze.

Rok 1841 przyniósł nowy zwrot w życiu Polaka-żeglarza. Zakupił statek i obecnie dopiero będąc w pełni panem swego losu, rozpoczął wyprawy według swej woli. Zajmuje się połowem wielorybów, fok i pereł i w czasie jednego z rejsów odkrywa w połowie drogi między Afryką a Australią dwie wyspki: St. Paul i Nowy Amsterdam; wyspki wprawdzie odkryte już znacznie wcześniej, ale później zapomniane i dotychczas nie należące do nikogo.

Ale Adam Mierosławski jest nie tylko żeglarzem.

Żyjąc na wodach oceanów, śledzi równocześnie bacznie bieg wydarzeń na arenie międzynarodowej i na wieść o ruchach rewolucyjnych w Europie — a zwłaszcza o wybuchu powstania w Wielkopolsce, którym kierował jego



brat Ludwik — jedzie do Europy, by oddać swe siły i posiadane fundusze na rzecz walki o wolność.

Był to rok Wiosny Ludów, kiedy to wiele narodów Europy powstało do walki, by zerwać kajdany ucisku, zlikwidować instytucje feudalne i samowolę władców. Po upadku powstania wielkopolskiego Adam i Ludwik Mierosławscy udają się do Włoch, by pomóc powstańcom sycylijskim w walce o usunięcie wpływów francuskich z Włoch południowych. Ponieważ wszelkie działania wojenne utrudniała francuska flota, sycylijscy powstańcy powierza Adamowi Mierosławskiemu zadanie zorganizowania floty dla paraliżowania Francuzom dostaw wojsk i zaopatrzenia. Znacomity polski żeglarz z zapałem realizuje to zadanie, ale na przeszkodzie stoi brak pieniędzy, zgodności i współpracy wśród sycylijskich władz, toteż zniechęcony opuszcza wyspę, nie przestając w dalszym ciągu śledzić wyniku działań.

Ratuje od niewoli ranego brata Ludwika w Catani i finansuje utworzenie legionu polskiego, z którym wraz z bratem Ludwikiem udaje się do Badenii, by pomóc tamtejszym powstańcom. Tu Adam Mierosławski zostaje zatrudniony w sztabie generalnym i otrzymuje zadanie fortyfikowania miast, budowania mostów na Renie, wysadzanie ich w czasie odwrotów powstańców. Wykazał on tu brawurą odwagę we wszystkich akcjach wojennych, a m. in. uratował brata i legion polski z obszaru zajętego przez wojsko pruskie.

Niestety i to powstanie upadło, a gdy odpada możliwość brania udziału w powstaniu na Węgrzech, Adam Mierosławski wraca na morze, by po nabyciu statku szukać zatrudnienia w dalekich rejsach i zmaganiach z groźnym żywiołem.

W końcowych latach swego życia zakupił statek i ze skromną załogą czterech ludzi wyruszył do Australii, by z podróży tej już nigdy nie powrócić. Zmarł bowiem w dniu 6 maja 1851 roku w czasie podróży powrotnej, przy czym tajemnicze przyczyny jego śmierci wskazują na to, że został zamordowany w celach rabunkowych.

Na tropach pijaństwa

Józef Pieprzyk

Nigdzie tak serdecznego przyjęcia nie doznał alkohol, jak w feudalnej Polsce. Już w zaraniu historycznych naszych dziejów znajdujemy go w piwie i miodzie, sprzedawanym w karczmach targowych na rachunek księcia (XI i XII wiek). Z chwilą przekazania przez księcia obszarów ziemskich wraz z przywilejami duchowieństwu i rycerstwu, powstają nowe karczmy, nieraz aż trzy w jednej wiosce. Bo i książę pleban ma swoją, i sołtys, i dziedzic. Owcześnie klasa uprzywilejowanych stwierdziła bowiem, że produkcja i handel napojami alkoholowymi sownie się opłaca. Karczma stała się instytucją społeczno-gospodarczą.

Zaglądnijmy do karczmy plebańskiej. Po nabożeństwie sam pleban chłopom usługuje, albo jego pomocnik duchowy, nierazko kleryk. Z okazji prymicji „zabawy po karczmach” zmieniały się często w orgie rożochocznego księżowskiego tłumu, a nawet w bijatyki. Tak było do połowy XIV wieku („Wies i karczma” — dr J. Bursztą).

Jest i we wsi karczma sołtysa. Początkowo dobrze prosperuje. Siedzi w niej albo dzierżawca albo sam sołtys. Lecz ta instytucja rozpijania ludzi musi walczyć ze wspomnianymi dwiema konkurentkami, aż ulegnie i przejmie ją dziedzic (XV wiek).

Dworska karczma ma największe szanse rozwoju. Pan wsi bowiem ma monopol tak mlewa jak i warzenia piwa, ma specjalne stanowisko społeczne. Wie, że tedy prowadzi drogę do powiększania dochodu.

Po dobroci lub pod przymusem

Do XVI wieku w karczmach przeważała handlowa-

Złym „duchem” w dziejach narodów jest niewątpliwie alkohol. Początkowo przytułek dla siebie znalazł w piwie (Egipt), potem swoją siedzibę poszerzył o wino, rozprzestrzenił Rzym, a w średniowieczu znalazł przytułek u pobożnych mnichów francuskich. Nosił różne tytuły: „aqua vitae” — woda życia, „spirytus” — czyli „duch”, nie gardząc etykietami klasztornymi na beczkach, a później na omszałych butelkach.

Z winem przedostał się do każdego kraju europejskiego. Początkowo służył pobożnym celom liturgicznym, a równocześnie zaglądał do karczmi, do dworów. Jako wódka z hiszpańskimi zbrodnia- rzami wybrał się do Ameryki. Tu stał się namiętności Indian i w ciągu kilkuset lat niemal zlikwidował ten wielomilionowy naród. Okazał się o wiele skuteczniejszy od mieczy, karabinów i armat.

no piwem. W XVI wieku na stole pojawia się o wiele silniejszy zły „duch” — alkohol w mocniejszej postaci, wyrabianej z żyta — w gorzałce. Odtąd zaczyna się właściwy okres rozwoju alkoholizmu w Polsce. Jak dużo było miejsc rozpijania, świadczy dane z XVI wieku. W województwie pomorskim na jedną karczmę przypada 17 rodzin we wsiach królewskich. W województwie malborskim — 11 rodzin. Nie lepiej w poznańskim. W dobrach arcybiskupa gnieźnieńskiego w roku 1612 było 431 karczmi i 162 karczmy opuszczone (na 303 wsie i 13 miast). Podajemy za Władysławem Stachowskim kilka danych z Tabeli Ogólnej powiatu kościańskiego z końca XVIII wieku. Po jednej karczmie w Pepowie (40 rodzin), w Czeluścinie (20 rodzin), w Krzyżankach (ok. 20 rodzin), w Domachowie istnieje 2 karczmy. W okolicznych miasteczkach około połowa domów, to karczmy lub piwowarnie. Jak widzimy

rozpijanie chłopstwa w tym czasie jest olbrzymie. Mało tego, że karczmy nęca, ale w wielu wsiach chłop pańszczyźniany musi wypić przepisana przez dziedzica ilość wódki. Jest to nakazem i obowiązkiem.

Taka sytuacja niedługo kazała czekać na wyniki. Gdybyśmy zaglądali do parafialnych ksiąg zgonów wspomnianych wiosek w powiecie gostyńskim, nie znaleźlibyśmy nawet kilku nazwisk zmarłych w wieku powyżej lat 40. Wczesna śmiertelność jest między innymi spowodowana także alkoholizmem. To samo mówią wszystkie inne parafialne księgi zgonów z tych czasów.

Tak było na wsi. Owiedźmy dwory. Nie ma tam prawie dnia, żeby alkohol nie był konsumowany. Dobrze pije wnuk Mikołaja z Nagłowic, także Mikołaj Rej, w poznańskich Skokach. Kasztelan zawiśłowski Borejko co pewien czas ogłasza swój dom za klasztor. Zamyka się w nim z dwoma zakonnikami,

mi, z którymi gorąco się modli i jeszcze goręcej pije. A jeśli nie znajduje odpowiednich mnichów, siada ze skrzynką butelek przy drodze i — biada przechodniowi, który by pogardził kieli- chem! Starosta sieradzki, Kosowski i jego żona utrzymują specjalnych faktorów, którzy im donoszą o przejeżdżającej szlachcie. Nie chce szlachcie gościnnych Kosowskich odwiedzić po dobroci, jest ściągany przymusowo. Radziwiłł „Panie Kochanku” nie ustępuje najlepszym pijakom. Gdy jest zbyt „wstawiony”, każe sobie sadzać w areszcie, by nie robił awantur („Historia chłopów” — A. Świętochowski). Takich przykładów z XVII i XVIII wieku można przytaczać bez końca. „Piła przecież cała szlachecka Polska, a pić mogła dlatego, że pić musiała chłopstwo.” (J. Bursztą).

„Duch” szczyry trupie zęby

Instytucja karczmy utrzymała się dość długo, bo do XX wieku. Nie ustąpiła ona z chwilą zniesienia pańszczyzny. Zmieniła się tylko jej właściciel i zmienił się sposób wyrobu wódki. Już nie z żyta, ale z tańszych ziemniaków (początek XIX wieku). Alkoholizmowi zaczyna w XIX wieku przeszkadzać ruch abstynencki zapoczątkowany przez światli- czych działaczy. Ale jeszcze w latach dwudziestych obecnego wieku tu w Wielkopolsce były dwory, roznoszące wiadomości gorzkiej kosiarkom w upalne lato. Pijaństwo weszło już w kodeks honorowy i stało się tradycyjnym obrządkiem przy wszelkich uroczystościach domowych i towarzyskich.

Alkohol stał się bronią obosieczną. Nadmiernie używany w dworach poczynił olbrzymie спустoszenia. Skutkiem jego wiele rodzin szlacheckich i magnackich jeszcze w czasach królewskich zupełnie wygasło. Wielu zaś z powodu pijaństwa rodziców i własnego zeszło do szere- gów degeneratów.

Także bardzo dużego zniszczenia dokonał wśród chłop- skiej ludności. Tępotą umysłową, niedorozwoj fizyczny lub umysłowy, mały wzrost, podatność na choroby, wczesna śmiertelność — słowem degeneracja ogólna dzieci wiejskich są najczęściej spowodowane pijaństwem rodziców. Wspomnieliśmy tu także trzeba niezliczoną ilość zbrodni, awantur, krzywd i innych przestępstw społecznych, a także wypadków, zanotowanych w aktach sądowych na konto tego nalogu.

Jak widzimy na tym krótkim szkicu, alkoholizm jest bardzo szkodliwym zjawiskiem społecznym, które wyhodował ustrój feudalny, a wypielegnował ustrój kapitalistyczny. Macki jego sięgają najnowszych czasów. Aby go zlikwidować, trzeba pozbyć się pożywkę, na której wyrósł — ustrój opartego na krzywdzie społecznej i ciemnocie ludu. Dlatego skuteczną walkę z alkoholizmem może prowadzić tylko ustrój socjalistyczny, mający na celu jedynie dobro człowieka.

Walka z alkoholizmem nie jest łatwa. Nałóg, zakorze- niony głęboko w dziejach i szeroko w społeczeństwie stanowi silną tradycję. To- też likwidacja tej niechlubnej pozostałości nie może odbyć się od razu. Walka musi być jednak stanowcza i systematyczna, bezwzględna.

Bóć o trzeźwość społeczeństwa już się rozpoczyna. Przebiega on wszędzie we wszystkich dziedzinach naszego życia. Bliskość zwycięskiego końca tego boju zależy od udziału w nim każdego z nas.



Ostatnia chudoba (olej)

Aleksander Kotsis — przyjaciel biednej wsi

Jan Mroziński

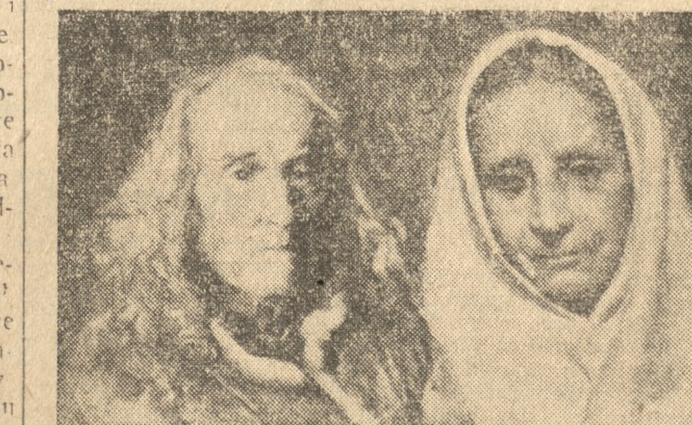
W galerii Muzeum Narodowego w Poznaniu można oglądać kilka znakomitych dzieł Aleksandra Kotsisa, jednego z najwybitniejszych malarzy polskich z drugiej połowy ubiegłego wieku. Nazwisko artysty obecne jest na ogół szerokim kręgom społecznym, a zwłaszcza pracującym chłopstwu, którego Kotsis był serdecznym przyjacielem i wśród którego spędził najdłuższy okres swego życia. Warto więc przypomnieć jego sylwetkę i twórczość, w której niedo- ludu pod rządami obszar- ków przedstawiona jest ze wstrząsającym niejednokrot- nie realizmem.

Aleksander Kotsis urodził się w r. 1836 we wsi Lu- dwinowie pod Krakowem, gdzie ojciec jego posiadał małe gospodarstwo rolne. Chłopką z pochodzenia była również jego matka. Młodość artysty upłynęła na wsi, co niewą- pliwie nie pozostało bez wpływu na kształtowanie się jego zainteresowań malar- skich. Studia odbywał Kotsis w Krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych pod kierun- kiem Łuszczkiewicza i nale- żał, obok Grottgera i Matej- ki, do najzdolniejszych wy- chowanków. Dla dokończe- nia studiów wyjechał, jako stypendysta, do Wiednia, Monachium, Brukseli i Pa- ryzu. W muzeach tych o- środków artystycznych zet- knął się młody artysta z dziełami starych mistrzów i one to, a zwłaszcza holender- scy malarze rodzajowi XVII stulecia, skierowali jego nie- skryształowane jeszcze swia- topogląd malarzski na tory realizmu, wskazując równo- cześnie na niewyczerpane i zupełnie zaniedbane źródło tematów w jego ojczyźnie.

Kiedy więc Kotsis wrócił do kraju, osiadając na stałe w Krakowie, nawiązał od- razu stały i bezpośredni kon- takt z biedną, zafarowaną wsią. Miesiące letnie spędzał na wsi podkrakowskiej, na Pod- halu i w Tatrach. Ciągłe ob- cowanie ze wsią dało mu możliwość pełnego poznania ciężkiego życia chłopskiego oraz piękna polskiego kraj- obrazu.

Interesowała Kotsisa nie wieś sielska, nie jej klasa kulacka, lecz maśroczny, bied- ny chłop, cierpiący w okre- sie narastania kapitalizmu ustawiczną nędzę. Intereso- wał artystę chłop pańszczyż- niany, bezrolny i zahartowa- ny, ciemny i dobrułuszny. Takie właśnie chłopstwo o- glądamy na jego obrazach.

Interesowała Kotsisa nie wieś sielska, nie jej klasa kulacka, lecz maśroczny, bied- ny chłop, cierpiący w okre- sie narastania kapitalizmu ustawiczną nędzę. Intereso- wał artystę chłop pańszczyż- niany, bezrolny i zahartowa- ny, ciemny i dobrułuszny. Takie właśnie chłopstwo o- glądamy na jego obrazach.



Para górali (olej)

O kanale, wczasach i dzieciach koreańskich

(Korespondencja z Rumunii)

Bukareszt, w czerwcu

W maju br. minęły trzy lata od opubliko- wania doniesień uchwały KC Rumuńskiej Partii Robotniczej w sprawie budowy Ka- nału Dunaj — Morze Czarne. Te trzy lata dla bagnistej, malarycznej, nieurodzajnej i zaniedbanej pod każdym względem Do- brudzy — znaczą więcej niż dziesiątki lat przeszłości.

Wystarczyły trzy lata, aby spełniło się już tak wiele ze wspaniałej zapowiedzi Gheor- ghiu-Deja: „Kanał ten ma szczególne zna- czenie dla rozwoju transportu i ogólnej go- spodarki naszego kraju. Użyźni miliony hektarów ziemi, powstają nowe miasta i nowe porty, uboga i pustynna Dobrudza bę- dzie uprzemysłowiona. Wielkie perspekty- wy zdobywania i pogłębiania kwalifikacji zawodowych stoją otworem przed robotni- kami i inżynierami, pracującymi na tej wielkiej budowie”.

Przywrócenie życia

Budowa Kanału Dunaj — Morze Czarne posuwa się w zawrotnym tempie. Dzięki tysiącom maszyn, których dostarczył Zwią- zek Radziecki — 85 procent robót jest zme- chanizowanych. Praca nie ustaje nawet w nocy i odbywa się przy świetle potężnych reflektorów.

Kanał skróci o 240 km drogę Dunaju do morza, a jednocześnie przeobrazi gruntow- nie obszar Dobrudzy. Już dzisiaj zaszły tu olbrzymie zmiany. Na przestrzeni dziesiąt- ków kilometrów ciągną się nowe szosy i li- nie kolejowe, powstały nowoczesne miast- porty Medgidia, Poarta Alba, Navodari, a w nich elektrownie, obiekty przemysłowe, piękne dzielnice mieszkaniowe. Prace me- lioracyjne oddają pod uprawę coraz to no- we, do niedawna bagniste i jałowe tereny. Zniknęła malaria — największy wróg tu- tejszej ludności, zniknął głód i... pragnienie — bo w tym kraju nie było nawet wody.

Kanał Dunaj — Morze Czarne — wielka budowa socjalizmu — przywraca życiu lu- dzi i ziemię.

Dzięki bratniej pomocy

Tak potężna inwestycja stała się możliwa tylko dzięki pomocy Związku Radzieckiego. Miesiące mają obfitywał w Rumunii w uro- czystości dla uczczenia przyjaźni rumuń- sko — radzieckiej. W maju Rumunia ob- chodziła 75-letnią rocznicę proklamowania

swojej niepodległości i całkowitego wyzwolenia z niewoli tureckiej. Walka narodu ru- muńskiego o niepodległość uwienczona zo- stała powodzeniem dzięki toczącej się wów- czas wojnie rosyjsko-tureckiej i zwycię- stwu wojsk rosyjskich. Uroczystości 75-le- cia zbiegły się z obchodem zwycięstwa nad faszyzmem w ostatniej wojnie. Dwa razy w historii przyniosły ludowi rumuńskiemu wolność wojska rosyjskie. Liczne wieńce i wianki kwiatów, składane w tych dniach u stóp pomnika Bohaterów Radzieckich w Bukareszcie i w innych miastach Rumunii — były wyrazem wdzięczności Rumunów dla oswobodzicielskiej armii radzieckiej. W Bukareszcie otwarta została zorganizowa- ną przez Akademię Rumuńską wystawa, która obrazuje fakty, ukrywane i przeina- czane dotychczas przez burżuazyjnych hi- storyków: wybitną rolę mas ludowych w walce o wyzwolenie spod jarzma tureckie- go i pomoc, jaką udzielił ludowi rumuń- skiemu w walce tej — lud rosyjski.

U progu lata

W związku z rozpoczynającym się latem wszystkie uzdrowiska, kąpieliska i miej- scowości wypoczynkowe Rumunii nad mor- zem i w górach „zapięte zostały na ostat- ni guzik”. Mają one przyjąć w tym sezonie 240 000 wczasowiczów, czyli o 40 tysięcy więcej niż w sezonie ubiegłym. Z tej liczby około 160 tysięcy — to wczasowicze, skiero- wani na wypoczynek przez związki za- wodowe, a 80 tysięcy — to kuracju- sze, przyjeżdżający na koszt minister- stwa zdrowia na pobyt w sanatoriach, lub na wczas lecznicze. Wiele domów wypo- czynkowych zostało wyremontowanych i lepiej przystosowanych do obecnych po- trzeb.

Miejscowość kąpieliskowa Tusnad wita- ła w tych dniach, jako pierwszych kuracju- szy — małych egzotycznych gości, którzy spędzą w niej letnie miesiące. Jest to gru- pa 500 dzieci koreańskich, korzystająca z braterskiej gościnności narodu rumuńskie- go. Ogółem przybędzie do Rumunii 1500 sierot z Korei — znajdują one wśród dzieci rumuńskich ciepło rodzinnego domu, będą się mogły uczyć i zapomnieć o koszmarnych przeżyciach.

Pionierzy rumuńscy zgotowali swym ko- reañskim towarzyszom gorące przyjęcie już na stacji granicznej.

Petru Mateiescu

„Pokażę Wągrowiec...”

Janusz Likowski

Kolega Maksymilian Myszkowski wsiadł do samochodu i zaczęliśmy rozmowę.

— Pokażę panu Wągrowiec — zacząłem — to przecież miejscowość. Pełno naokoło jezior wrzynających się wąskimi rynami w delikatnie pofalowany krajobraz. Pełno lasów i uroczych zakątków. A przy tym wszystkim, plaża nad jeziorem, jedna z najpiękniejszych chyba w Wielkopolsce. Dawno tam nie byłem...

— Ile lat?

— O, trzynaście... Miasto co prawda odwiedziłem kilka razy, ale okolice, tak się jakoś złożyło, oglądałem ostatni raz w 1939 roku. Styszałem, że w „dębinie” hitlerowcy sporo drzew wycięli... A szkoda, bo jest to piękny i rzadki w naszym kraju las. Stare dęby, stuletnie, lub nawet starsze, a na koronach gniazda czapli...

*

Gniazda czapli nie znalazłem. Może ukryły się gdzieś w głębi bujnych liści? Dęby pozostały, choć trochę przereźnione. Rozczapierają konary ku niebu, potężne, proste a na szczytach rosochate. Dołem podrasta „młodzież”.

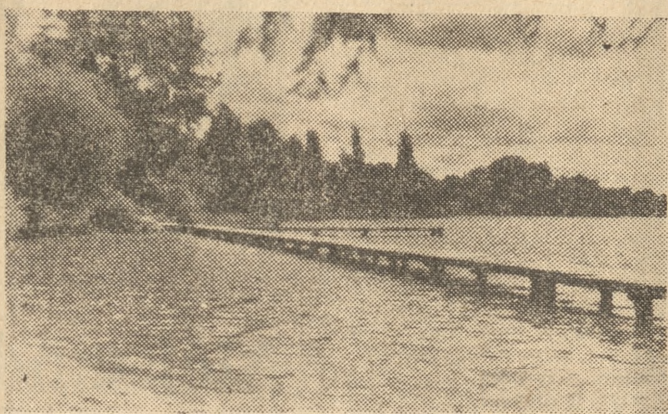
Migawka aparatu ciągle pracuje. Dęby pod światło, dęby ze światłem, w półcieniu, dęby na „dramatycznie”... artysta szuka efektów, czeka na chmurę, to znów na słońce, wybiera fragmenty. Tych jest tutaj wiele. Załazły zwolennik Osowej Góry, Puszczkowa, Strzeszyna, czy ostatecznie Promna musi uznać bezapelacyjną wyższość wągrowieckiej „dębiny”.

Jest to las mieszany. Znajdzie się tu stare sosny, buki, graby. Rosną one w stanie, który wczasowicz lub turysta musi spokojnie uznać jako dziki, bliski puszczy. Tradycyjnie, „pod sznurek” ustawionych sosenek, rozsypujących dywan igliwia kłującego niegorzej od kokosowego chodnika w „dębinie” nie znajdziecie. Trawa, przegrody leszczynowych zarośli, dużo powietrza, słońca. Dwadzieścia tysięcy ludzi (bez przesady) mogłoby spędzić niedzielne wczasy, nie obawiając się przeszkadzania sobie nawzajem, a przecież na tym uroku okolicy Wągrowca się nie kończą.

— Z moich lat chłopięcych pamiętam — mówię do

awansowanych znajduje się nami rozbielalni, basenem, blisko miasta piękna, strzeżona, bezpieczna plaża z wszelkimi urządzeniami, czy-

stajesz w mieście. Wędrujesz



Plaża

ściutką wodą i piaszczystym dnem. Zresztą, powiedzmy to sobie, wyprawa na przeciwległy od strony miasta brzeg, do zatoki Orlej, wymaga posiadania (lub wypożyczenia) łodzi, niezawodnych umiejętności pływackich lub marszowych. Spacer wokół jeziora, choć sprawia wiele radości, dostępny jest dla nie bojących się trzy lub czterokilometrowego spaceru ludzi lub dzieci przekraczających dziesięć rok życia.

I znowu trzeba powiedzieć, choć tak bez przerwy wychwalam zakątki i krajobrazy, że „wczasowa pojemność” jest w zasadzie nieograniczona, a gęsty, młody las pokrywa braki kabin w wypadku konieczności przebierania się w kostiumy kąpielowe.

Powiedzmy, czytelniku, że jesteś zwolennikiem „ucywilizowanej” kąpieli, ze wszystkimi jej akcesoriami: kabi-

tylko ścieżką spacerową nad brzegiem jeziora nie więcej od pięciuset metrów.

Miasto kończy się w lesie. Strzelnica, szpital, boiska sportowe stoją już wśród pierwszych drzew. Latem lub wiosną, gdy zawieje północny wiatr (zjawisko zresztą rzadkie), miasto pełne jest zapachu lasów iglastych ciągnących się tutaj przerywanymi pasmami na wiele kilometrów. Do Durowa (nadleśnictwo) tylko dwa kilometry; do Kobyłca — cztery, a tam właśnie wśród łąk, lasów i obu jezior (kobyleckiego i durowskiego) znajdzie się bez trudu z dwie setki miejsc niedzielnego wypoczynku na tak zwanym łonie natury. „Łono” okolic Wągrowca jest niesłychanie hojne.

*

A teraz kilka uwag praktycznych. Z Poznania do Wągrowca jest 58 kilometrów

koleją. Oczywiście ruch pasażerski nie jest dostosowany do obsługi wczasowiczów niedzielnymi z Poznania. Jednorazowy pociąg popularny nie rozwiąże zagadnienia. Gdyby jednak poznaniacy zasmakowali w wycieczkach, Orbis i PKP wspólnie mogłyby — przy obopólnej korzyści — uruchomić dwa specjalne pociągi „wczasów niedzielnich”. Jeden powinien z Poznania wyjeżdżać o 7.30 i byłby na miejscu przed 9, następny — godzinę później. Odpowiednio trzeba by dostosować powrót, by rodziny z dziećmi przed godziną 18 znalazły się w Poznaniu. Są to przecież rzeczy wcale nie takie trudne do zrealizowania. I jeszcze jedno. Amatorom pobytu w „dębinie” trzeba by umożliwić dojazd (i powrót) bezpośredni. Leży ona bowiem dwa kilometry od miasta. To tyle.

PS. Jeśli pojedziecie do Wągrowca, napiszcie do redakcji, czy nie przesadziliście. Zresztą zdjęcia kol. Myszkowskiego chyba nie kłamią.



Fragment „dębiny”

fot. (3) Maks. Myszkowski (Pozn.)

Felieton o urodzie

Na pytanie: kto jest ładniejszy, kobieta czy mężczyzna? — wszystkie kobiety odpowiadają: my! Wielu mężczyzn, a może i wszyscy, podziela tę opinię. Przecież nie darmo kobiety — to „pięć piękna”!

Tak by się zdawało, a jednak...

Lysina! Mężczyzna łysy wcale nie jest uważany za brzydka, a kobieta łysa — w żadnym wypadku nie będzie ładna. A więc?

Włosy są niewątpliwie ozdobą człowieka każdego, ale nie tylko w tym celu dają je nam natura. Włosy mają swe duże znaczenie fizjologiczne — chronią głowę przed wpływami zewnętrznymi: zimną, wilgocią, upałem. Wygląd i ich długość zależy od stanu zdrowia całego naszego organizmu i od systemu nerwowego. Niewłaściwe, nieregularne odżywianie się, niedostateczna w pokarmach ilość białka, tłuszczów, witamin lub złe ich przyswajanie przez organizm odbija się na przemianie materii i wpływa ujemnie na porost włosów. Ważną rolę spełnia tu także tryb życia i higiena osobista.

W zasadzie włosy podzielić możemy na dwa rodzaje: suche i tłuste. Suche są bardzo łamliwe i rozszepczają się na końcach na części. Przy takich włosach skóra na głowie także jest sucha i skłonna do łuszczenia się, tworząc tzw. łupież. Włosy tłuste zaś łatwo się zlepią.

Przy pielęgnacji włosów należy zważać na rozczesywanie ich grzebieniem niezbyt gęstym i... własnym, często mytym. Krótkie rozczesujemy zaczynając od korzeni, długie na pierś i na końcach i powoli zaczynając coraz wyżej. Szczotka dra-

niąc skórę powoduje szybszy obieg krwi, co dodatnio wpływa na włosy.

Zdrowy człowiek traci od 30 do 120 włosów dziennie. W miejsce tych obumarłych włosów wyrastają nowe. Często mycie głowy (nawet przez naszych przelozonych) nie jest wskazane. Przy suchych włosach nie częściej niż raz na 2 tygodnie, przy tłustych co 10 dni. Najlepiej użyć do mycia głowy piany toaletoowego mydła, spłukiwać niezbyt gorącą wodą, deszczową lub przegotowaną, a do zwykłej tzw. twardej wskazany jest dodanie sody oczyszczonej (natron, 1 łyżeczka na 1 l wody). Włosy jasne dobrze jest spłukiwać wywarem z rumianku, ciemne z dodatkiem octu, dla dodania im połysku.

Twała ondulacja, tak obecnie rozpowszechniona, zasługuje na krytykę. Wysusza ona żółtawo włosy, a dodatkowy chemiczny tak ostry jak np. amoniak, których się przy tej „operacji” używa, wpływają ujemnie nie tylko na elastyczność i połysk, lecz czynią włos martwym. Zresztą sama technika ondulacji trwałe wywołuje ostre zmiany w strukturze włosa. Przy tym wszystkim grozi jeszcze niebezpieczeństwo oparzenia skóry głowy, zmiany koloru włosów, a nawet ich utrata i całkowite ołysienie. Gorące żelazko także jest szkodliwe, gdyż powoduje kruchość i łamliwość włosów. Najlepiej więc zostawić włosom ich naturalny wygląd.

Ale czy ta groźba zdolna jest odstraszyć kobiety od ondulacji?

I. R.

Od scenopisu do projektora

Janusz Biniak

Realizacja filmu rozpoczyna się w chwili, gdy scenariusz filmowy pod fachową ręką filmowca przeobraża się w scenopis. Już wówczas rozpoczyna pracę reżyser filmu, współdziałając z dekoratorem przy opracowaniu szkiców dekoracji, a z operatorem przy ustaleniu tzw. planów. Każdą poszczególną scenę, każde ujęcie trzeba szczegółowo przemyśleć; operator musi z góry wiedzieć nie tylko co, ale również jak będzie kręcić.

W atelier filmowym jeszcze głucho, lecz w biurze architektonicznym wytwórni praca wręcz w pełni. Sporządza się tam rysunki techniczne przyszłej oprawy filmu. Po ich zatwierdzeniu przez reżysera, rozpoczynają prace warsztaty. Stukają młotki w stolarni, sztukatorzy przygotowują części zdobnicze dekoracji, a makieciarnia — miniaturowe makiety, które podczas nakręcania filmu z powodzeniem zastępują ogromne części dekoracji. Nie próżnuje również pracownia krawiecka, przygotowując kostiumy i ubrania.

Wreszcie nadchodzi wielki dzień — dzień pierwszych zdjęć.

Kłopoty aktora filmowego

Pozwólmy operatorowi ustawić w atelier kamerę i przygotować aparaturę, i zanim elektrycy dokonają próby licznych reflektorów, przyjrzyjmy się grupie ludzi, którzy zbliżają się w tej chwili do reżysera. Widać wśród nich siwiuteńką starszuskę o pomarszczonej twarzy. A przecież zaledwie przed godziną starszuszka ta była młodą kobietą o bujnych ciemnych włosach. Ta przemiana jest dziełem charakterystora i perkurera, którzy wspólnie z krawców dorzucili jej fachową ręką co najmniej z 40 lat.

*

Nie łatwa jest — mimo pozorów — praca aktora filmowego (bo o nich to właśnie mowa). Trzeba przecież umiejętności czysto artystycznych mieć również inne zdolności, a przede wszystkim cierpliwości i wytrzymałość. Niektóre ujęcia powtarza się po kilka razy: to reżyserowi się coś nie podobało, to znów błądzący koło mikrofonu komar wprowadził w zły humor operatora dźwięku, to znów operator

krzyczy, że aktor wypada z klatki.

Przypomnijmy sobie scenę z filmu „Młodość Chopina”, w której Gładkowska ciągnąc za sobą Fryderyka, przebiega w bród przez strumyk. Ten karys Konstancji wiele kosztował Śląską, jak to później opowiadała podczas swego pobytu w Poznaniu. Ciężka, długa i obszerna spódnica, po kąpieli w strumyku nabrała zastraszającej wagi. I skacz tu człowiecze w takiej zbroi po leśnych werpach z równie zmoczonym Wolejką, uśmiechając się czule do niego, powtarzając to samo po kilkakroć razy — brrr!

Innym znów rodzajem tortur był poddawany Chopin-Wolejko. Myślę, że Ford nie pogniwa się jeżeli zdradzę, że kazał Wolejce zamiast po klawiszach fortepianu bębnić po zwykłej gołej desce. Wprawdzie wychodziło to z większą pasją, lecz sympatycznemu Wolejce bynajmniej nie przysparzało rozkoszy. Zwłaszcza, że bębnić po tej swojej desce musiał nieskończoną ilość razy, jako że ruchy jego rąk należało dokładnie zsynchronizować z muzyką, odtwarzaną przez Czerny-Stefańską. (Sam Wolejko przyznał się, że jego zdolności pianistyczne ograniczają się w życiu prywatnym do podniesienia pulpitu...).

Fotografujemy dźwięki

Ale pozostawmy teraz aktorów pod ostrzałem groźnego oka reżysera i kamery, a zainteresujemy się z kolei operatorem dźwięku.

Dialogi nagrywa on równocześnie z nakręcaniem zdjęć. Dźwięk fotografuje się na oddzielnej taśmie przy pomocy osobnej aparatury, sprzężonej z kamerą, tak że aparaty te pracują równocześnie.

Następnie, kiedy film jest już nakręcony i zmontowany, na osobnej taśmie nagrywa się muzykę. Dyrygent orkiestry, widząc na ekranie film, może swobodnie kierować orkiestrą, która wykonuje ilustrację muzyczną, napisaną dla filmu przez kompozytora. Wreszcie trzecia z kolei taśma rejestruje wycie wicheru, strzały, dzwonki, głosy

zwierząt i inne efekty dźwiękowe.

Jakże to — spytacie — czy dźwięk można fotografować? Można, a odbywa się to w sposób następujący:

Dźwięki, chwymane przez mikrofon, powodują — za pośrednictwem membrany — zmianę natężenia prądu w zamkniętym obwodzie. Drgania te przekazane są poprzez odpowiednie wzmacniacze do kółki fotoelektrycznej, która, zależnie od wahań napięcia w obwodzie, nasświetla przeznaczony na ten cel wąski pasek taśmy filmowej.

W aparacie projekcyjnym w kinie rzecz ma się odwrotnie — co widać na załączonym rysunku.

Script-girl ratuje aktora

Ale za bardzo oddaliliśmy się od wytwórni. Wracajmy do atelier. Lecz — co to znaczy? W ogromnej hali — pusto. Tylko kilka robotników rozbiera dekorację. Pytamy o ekipę. Okazuje się, że korzystając z pięknej pogody, ekipa wyjechała robić zdjęcia w plenerze.

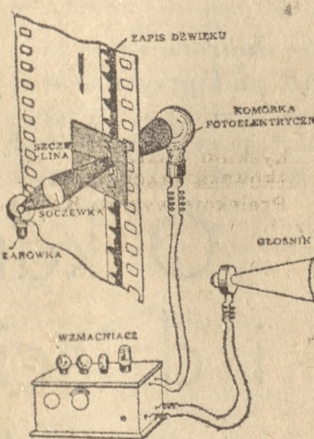
Jedziemy więc za miasto. Otóż i oni: udzielny władca reżyser, operator zadzierający co chwila głowę do słońca, aktorzy, statyści. Obok, przy małym stołeczku urzęduje sekretarka filmu, tzw. script-girl. Zapisuje ona uwagi o dokonanych zdjęciach i szczegółach ubioru aktorów. Może bowiem się zdarzyć,

że aktor przez pomyłkę założył inny krawat niż ten, w którym występował w poprzedniej scenie. Zdumionym oczom widzów ukazałby się w kinie taki obraz: w jednej sekundzie, na miejscu krawatu w groszki, wyskakuje pod brodą aktora krawat... w piękne pasczki. Script-girl, której zadaniem jest dopilnowanie tych właśnie drobnych szczegółów ratuje aktora od tego rodzaju czarodziejskich przemian. Trzeba bowiem pamiętać, że film nie nakręca się według kolejności poszczególnych scen, lecz w zależności od dekoracji, „na wrywki”.

Rośnie ilość pudeł, zawierających nakręcone fragmenty filmu. Przy montowaniu ich w jedną zrozumiałą dla widza całość, pomaga prosty przyrząd, noszący również nieskomplikowaną nazwę — „klaps”. Są to dwie deseczki, na których wypisuje się kredą tom i numer ujęcia. Tuż przed rozpoczęciem zdjęć, klapsier wychodzi przed aparat, który chwytając numer wypisany na klapsie tak, jak taśma dźwiękowa odgłos, wydany przez zamknięcie klapsa. Ułatwia to potem montowanie nakręconych fragmentów według kolejności przewidzianej w scenopisie.

Montaż w charakterze środka na porost włosów

Niespodzianki, od których ma uchronić film klaps i script-girl, mogą mimo to wyskoczyć na ekranie. Zdarzyło się to w filmie „Dom na pustkowiu”,



Zasada odtwarzania dźwięku zapisanego na taśmie.

gdzie bohaterowi, siedzącemu spokojnie w fotelu, wyrosła po chwili piękna broda. Wybryk natury? Nie — w tym wypadku winien był montażysta, którego zadaniem jest sklepanie poszczególnych części filmu w jedną całość. Skróty, które zazwyczaj są przy tym konieczne, odbijają się zwykle w przykry sposób na całości.

Stolik montażysty zaopatrzony jest w mały ekranik, który pozwala śledzić wyświetlane fragmenty i wybrać najlepsze.

Wreszcie wszystkie taśmy (zdjęcia z nagranymi dialogami, ilustracja muzyczna i efekty dźwiękowe) przegręwa się na jedną. Nazywa się to miksażem.

Opracowana ostatecznie taśma wędruje do laboratorium, gdzie zostają wytworzone kopie, które roznoszą się po całym kraju, do miast, miasteczek i wsi.

1) opis tego, co ujrzymy i usłyszymy w kinie. Po stronie lewej scenopisu notuje się uwagi dla operatora, a dialogi oraz wskazówki co do muzyki i efektów dźwiękowych — po prawej.

2) ustawienie aparatu zdjęciowego (kamery) w takiej odległości, które określa wielkość występujących na zdjęciu osób lub przedmiotów (np. przy „planie pełnym” sylwetki aktorów będą na filmie widoczne w pełnej wysokości, przy „planie średnim” — do kolan, itp.).

3) fragment scenopisu, który został sfilmowany z jednego ustawienia kamery, w czasie od otwarcia do zamknięcia jej obiektywu;

4) wypadnięcie z klatki następuje wtedy, kiedy kamera nie obejmuje sylwetki aktora tak, jak to jest przewidziane celem zrozumienia akcji przez widza;

5) z franc. (plain air). Zdjęcia w plenerze — zdjęcia na wolnym powietrzu.



Aleja brzoźowa

kolegi Myszkowskiego — że najpiękniejszym zakątkiem była zatoka Orla na jeziorze Durowskim. Tym właśnie, do którego schodzą domy miasta. Pojedziemy, a piękne zdjęcie murowane.

Pojechaliśmy. Niestety, przyroda nie uznaje żadnych przerw. Nie chce zatrzymać się w wiecznym ruchu i wroście. Przed dwunastu laty wysokie brzegi fotogenicznej zatoczki obrastał krępy zagajnik, przetykany kiściami krzaków leszczyny, grabów i buków. Bezskutecznie szukamy wolnej przestrzeni, przez którą mogłoby wychylić się szklane oko obiektywu uzbrojonego w czerwony (dla ostrzejszych kontrastów) filtr. Gęste zarośla, przez które wiodą liczne ścieżeczki i przejścia, spływają tak nisko, że pozostaje tylko wygodny dostęp do kąpiel dla pływaków o zdecydowanych umiejętnościach sportowych. Jezioro — trzeba pamiętać jest dosyć głębokie i z nim nie można żartować.

Nie straszny jednak przyzłych miłośników okolic pod Wągrowcem groźba śmiertelnej topieli, bo dla słabiej za-



Prace nad montażem filmu.